

G. K. CHESTERTON.

MŁOT BOŻY

NOWELA.

2)

Tłom. Zet.

— Zaledwie mogę pojąć, rzekł.

— Mr. Bohun — rzekł doktor niskim głosem — dosłownie brak mi odpowiedniej przenośni. Nie wystarczy powiedzieć, że czaszkę roztrzaskano jak skorupę jajka. Odłamki kości wbiły się w ciało i ziemię jak kule w ścianę z gliny. Była to ręka olbrzyma.

Zamknął na chwilę, patrząc ponuro przez szkła; potem dodał. — Fakt ten ma jedną korzystną stronę. Ze mianowicie za jednym zamachem oczyszcza się większość ludzi z podejrzania. Gdyby oskarżono o tę zbrodnię pana lub mnie, albo któregośkolwiek normalnie zbudowanego człowieka ze wsi, zwolniono by nas od razu, jak dziecko oskarżone o kradzież kolumy Nelsona.

— To właśnie ja mówię — powtarzał łatacz uporczywie. — Jest tylko jeden człowiek, któryby mógł to zrobić a zarazem, któryby to zrobił. Gdzie jest Symeon Barnes, kowal?

— Jest daleko, w Greenford — wyjąkał wikary.

— Prawdopodobnie jeszcze dalej, we Francji — mruknął łatacz.

— Nie, niema go ani tam, ani tam — rzekł drobny bezbarwny głos, pochodzący od małego księdza katolickiego, który przyłączył się do grupy — patrzcie! oto idzie właśnie pod górę drogą.

Mały ksiądz z wejrzenia nie był interesującą osobistością; miał ciemny, szczotkowaty włos i okrągłą, tępą twarz. Ale gdyby był nawet tak okazały jak Apollo, nikt by na niego nie spojrział w tej chwili. Każdy obrócił się i patrzył na ścieżkę, wijącą się po równinie na dole, którą rzeczywiście kroczył swym zwykłym posuwistym krokiem, z młotem na barkach, kowal Symeon. Był to kościsty olbrzymi człowiek o głębokich, ciemnych, krzywo patrzących oczach i czarnej bródce. Szedł i rozmawiał spokojnie z dwoma mężczyznami, a choć nigdy nie był szczególnie podniecony, tym razem wydawał się całkiem swobodny.

Mój Boże, — krzyknął ateista łatacz — wszak to młot, którym on to zrobił.

— Nie — odparł inspektor, wyglądający rozsądnie człowiek z piaskowym wąsem, który przemówił pierwszy raz. — Tu jest młot, którym to zrobił przez mur kościelny. Zostawiliśmy go i ciało, dokładnie tak, jak są teraz.

Wszyscy oglądali się, a mały ksiądz przeszedł i spojrział w milczeniu na leżące narzędzie. Był to jeden z najmniejszych i najłżejszych młotków i nie zwróciłby uwagi pomiędzy innymi. Lecz na stalowej jego krawędzi była krew i płowe włosy.

Po chwili milczenia mały ksiądz rzekł, nie podnosząc oczu, znaczącym, tępym głosem.

— Mr. Gibbs nie miał słuszności, mówiąc, że tu niema tajemnicy. Jest tajemnica przynajmniej w tem, czemu taki wielki mężczyzna zadawałby taki potężny cios tak małym młotkiem.

— Och, to nic nie znaczy — zawołał rozgorączkowany Gibbs. — Lepiej radźmy, co mamy zrobić z Symeonem Barnesem.

— Zostawcie go — rzekł ksiądz spokojnie — sam idzie tutaj. Znam tych dwu ludzi, którzy mu towarzyszą. Są to dobrzy chłopcy z Greenfordu, przyszedli w sprawie prezbiterjańskiej kaplicy.

Właśnie gdy to mówił wysoki kowal przeszedł koło rogu kościoła i sunął olbrzymimi krokami na swe podwórze. Tu stanął, a młot wypadł mu z ręki. Inspektor, który zachował nieprzenikniony spokój, niezwłocznie przystąpił do niego.

— Nie będę pana pytał, Mr. Barnes — rzekł — czy pan wie coś o tem, co tu zaszło. Nie jest pan obowiązany mówić. Spodziewam się, że pan nic nie wie i że pan zdoła to udowodnić. Ale muszę trzymać się formy i aresztuję pana w imieniu króla za morderstwo na osobie puik. Normana Bohuna.

— Nie jesteś obowiązany nic mówić — mówił łatacz w dziwnym podnieceniu. — To oni muszą wszystko udowodnić. Nie udowodnili nawet jeszcze, że to pułkownik leży tam z straszaną głową.

— To nie wytrzymuje krytyki — rzekł na boku doktor do księdza. Byłem lekarzem pułkownika i znałem jego ciało lepiej niż on sam. Miał bardzo ładne ręce i całkiem szczególne. Drugi i trzeci palec były tej samej długości. Oh, to jest pułkownik, bez wątplenia.

Gdy tak patrzył na skrwawionego trupa na ziemi, stalowe oczy nieruchomego kowala spoczyły na nim także.

— Czy pułkownik Bohun nie żyje? — rzekł kowal całkiem chłodno. — W takim razie jest potępiony.

— Och, nie mów nic! — zawołał łatacz, krążąc koło niego w podziwie angielskiego systemu prawnego. Albowiem nikt nie jest takim legalistą, jak dobry sekularysta.

Kowal odwrócił się od fanatyka.

Dobrze to dla was niewiernych wykręcać się jak lis, ponieważ prawo świeckie wam sprzyja — rzekł — ale Bóg strzeże Swoich i obaczyć Jego dzień.

Potem wskazał na pułkownika i rzekł:

— Kiedy ten pies zmarł w swych grzechach.

— Powściągnij swój język — powiedział doktor.

— Powściągnij język Biblii, a ja powściągnę swój. Kiedy zmarł?

— Widziałem go żywego o szóstej godzinie dziś rano — wyjąkał Wilfred Bohun.

— Bóg jest dobry — rzekł kowal. — Panie inspektorze, nie sprzeciwiam się bynajmniej memu aresztowaniu. To tylko pan może się temu sprzeciwić. Ja nie przejmuję się tem, że opuścić sąd bez plamy na charakterze. Ale może pan dba o to, by go nie opuścić z brzydkim fiaskiem w swojej karierze.

Tępy inspektor po raz pierwszy spojrział żywo na kowala, jak zresztą patrzeli wszyscy inni z wyjątkiem obcego księdza, patrzącego jeszcze ciągle na młotek, który zadał ten straszny cios.

— Stoi tam na dworze dwu ludzi — mówił kowal — dobrzy rzemieślnicy z Greenfordu, których wszyscy znacie i którzy przysięgną, że widzieli mię od przedpłnocy do świtu i długo jeszcze potem w lokalu naszej Misji Wskrzeszenia, która odbywa posiedzenie przez całą noc, przy pracy nad zbawieniem dusz. W Greenfordzie samym dwudziestu ludzi może na to przysiąc. Gdybym był poganinem, panie inspektorze, pozwoliłbym panu iść do pańskiego upadku. Ale jako chrześcijanin czuję się zobowiązany dać panu sposobność do uniknięcia go, pytam więc, czy chce pan słyszeć moje alibi teraz, czy w sądzie.

Inspektor wydał się pierwszy raz zakłopotany i rzekł:

— Naturalnie, byłbym szczęśliwym uniewinniając pana zaraz, oczywiście.

Kowal wyszedł z podwórza tym samym długim i swobodnym krokiem, powrócił do swych dwu przyjaciół z Greenfordu, którzy istotnie byli znajomymi prawie wszystkich obecnych. Każdy z nich rzekł parę słów, których nikt nawet nie myślał podawać w wątpliwość. Gdy skończyli, niewinność Symeona była faktem tak niewzruszonym, jak wielki kościół nad nimi.

Zapanowało w grupie milczenie tego rodzaju, jakie jest przykreszejsze i nieznośniejsze, niż jakakolwiek mowa. Nieprzytomnie, byle tylko coś powiedzieć, rzekł wikary do katolickiego księdza.

— Bardzo, zdaje się, interesujesz się tem młotem, ojcie Brown.

— O tak, — odparł Brown; — dlaczego to taki mały młotek?

Doktor przyskoczył doń.

— Na świętego Jerzego, to prawda — krzyknął — kto użyłby małego młotka mając obok siebie dużych? — I zniżając głos rzekł do ucha wikaremu. — Tylko ktoś, kto nie mógłby podnieść dużego młota. Nie jest to kwestja siły, czy odwagi, jaką się różnią dwie płci. Chodzi tu o zdolność podnoszenia w ramionach. Słaba kobieta mogłaby popełnić dziesięć morderstw małym młotkiem, ale nie zabiłaby chrapąszcza dużym i ciężkim.

Wilfred Bohun patrzył nań ze strachem jak zahipnotyzowany, podczas gdy ks. Brown słuchał z przekrzywioną głową rzeczywiście zainteresowany. Doktor mówił bardziej świszcząco z emfazą.

— Dlaczego te idjoty zawsze twierdzą, iż jedyną osobą, która nienawidzi kochanka żony, jest mąż żony? Dziewięć razy na dziesięć najbardziej nienawidzi kochanka żony sama żona. Kto wie jaką zdradę lub podłość on względem niej popełnił — patrzcie tylko na nią?

Wskazał w stronę rudowłosej kobiety siedzącej na ławce. Podniosła wreszcie głowę a łzy osychały na jej twarzy. Ale oczy utkwione były w trupa z elektrycznym błyskiem, który miał w sobie coś obłąkanego.

Wilfred Bohun zrobił ruch, jakby chciał odegnąć wszelkie pragnienie wiadomości, ale ks. Brown otrzepując z rękawa pył zwiany z kuźni rzekł objętym głosem.

— Pan jest, jak wielu doktorów; pańska umysłowa wiedza jest rzeczywiście wynalazczą, ale fizyczna jest zupełnie niemożliwa. Zgadza się, że kobieta chce zabić współwinnego bardziej, niż jego zazdrosny współzawodnik. I zgadzam się, że kobieta zawsze chwyci mały młot zamiast wielkiego. Ale trudność polega na fizycznym niepodobieństwie. Żadna kobieta, kiedykolwiek zrodzona, nie roztrzaskałaby czaszki mężczyzny jak tutaj. — A po przerwie dodał z namysłem. — Ci ludzie nie objęli całej prawdy. Ten człowiek miał hełm żelazny, a cios rozbił go, jak szkło. Patrzcie na tę kobietę, na jej ręce.

Milczenie zapanowało znów, a potem doktor rzekł dość zadąsany.

— Dobrze, mogę się mylić, sprzeciwiać się można wszystkiemu. Ale trzymam się głównego punktu. Tylko idjota podniósłby mały młot, mając wielki.

Na to chude drżące ręce Wilfreda Bohuna podniosły się do głowy i zdawały się chwycić skąpe płowe włosy. Po chwili opadły a on zawołał.

— To było słowo, którego chciałem, pan wykreślił to słowo! — Potem ciągnął, opanowując swe wzburzenie. — Słowa, jakie pan powiedział, były: „nikt tylko idjota chwyciłby mały młotek“.

— Tak — potwierdził doktor — a więc?

— Więc — rzekł wikary — nikt tego nie uczynił, tylko idjota. — Reszta patrzyła przykutemi do niego oczyma a on mówił w gorączkowym, jakby kobiecym wzburzeniu. — Jestem księdzem, wołał niepewnie, a ksiądz nie powinien przelewać krwi. Ja... ja... sądzę, że ksiądz nie powinien nikogo wydać na szubienicę. I dziękuję Bogu, że widzę zbrodniarza teraz jasno — bo to jest zbrodniarz, którego nie można zaprowadzić na szubienicę.

— Jakto, ksiądz go nie zdradzi? — zapytał doktor

— On nie pójdzie na śmierć, choć go wydam — odparł Wilfred z dzikim, ale szczęśliwym uśmiechem. Gdy wszedłem do kościoła dziś rano, znalazłem modlącego się warjata, — tego biednego loego, który był bez zdrowych zmysłów całe życie. Bóg wie, o co on się modlił. Ale nie jest nieprawdopodobne przypuszczać, że u takich ludzi modlitwy są zupełnie przewrotne. Być może lunatyk modliłby się przed zabiciem człowieka. Gdy ostatni raz widziałem loego, był z moim bratem. Mój brat szczydził z niego.

— Na Jowisza — krzyknął doktor — to coś mówi nareszcie. Ale jak ksiądz tłumaczy...

Wilfred prawie trząsł się ze wzruszenia pod wpływem tego przeblysku prawdy.

— Nie widzicie, krzyczał rozgorączkowany, nie widzicie, że to jedyna teoria, która się pokrywa z obiema rzeczami, która odpowiada na obie zagadki. Te zagadki to mały młot, a potężny raz. Kowal mógłby zadać taki cios, ale nie wybrałby małego młota. Jego żona wybrałaby mały młot, ale nie zadałaby takiego ciosu. Ale szalenieć był zdolny do jednego i drugiego. Co do młotka — cóż był szalony i mógł podnieść cokolwiek innego. A co do wielkiego uderzenia, czyś pan nigdy nie słyszał, doktorze, że maniak w paroksyzmie może mieć siłę dziesięciu?

Doktor oddechną głęboko i rzekł:

— Do pioruna, myślę, żeś ksiądz dostał go...

Ks. Brown utkwiał wzrok w mówiącym tak długo i uporczywie, jakgdyby poto, by udowodnić, że duże, szare, jakby wole oczy nie były tak nic nie znaczące, jak reszta jego fizjognomji. Gdy zapadło milczenie, rzekł z wyraźnym szacunkiem:

— Mr. Bohun, teoria ta jedyna z dotychczas postawionych wytrzymuje krytykę na każdy sposób i jest w istocie swej bez zarzutu. Dlatego myślę, że zasługuje pan na to, by mu powiedzieć na podstawie mojej pozytywnej wiedzy, że to nie jest prawdziwa teoria.

Z tem mały człowieczek odszedł i zapatrzył się znów na młot.

— Ten gość, zdaje się, wie daleko więcej niż powinien — szepnął zgryźliwie doktor do Wilfreda. — Ci papiści są diabło chytry.

— Nie, nie, — mówił Bohun, z rodzajem dzikiego uporu — to był szalenieć, to szalenieć.

Grupa dwuch księży i doktor oddaliła się od bardziej urzędowej, gdzie znajdował się inspektor i aresztowany. Teraz słyszeć było ich głosy. Ksiądz patrzył spokojnie w górę a potem znów na ziemię, podczas gdy kowal mówił donośnym głosem.

— Sądzę, że przekonałem pana, panie inspektorze. Jestem silnym człowiekiem, jak pan widzi, ale nie mogłbym dorzucić mojego młota tutaj z Greenfordu. Młot mój nie ma skrzydeł, aby przelecieć pół mili nad płotami i polami.

(Dokończenie nastąpi).